



Siedzę tak sobie a w głowie kołoczą się najróżniejsze myśli: radość, strach, obawa, euforia...

Z zadumy wyrwa mnie klepanie po ramieniu - to Kucharz przekrzykując ryk silników zadaje mi pytanie: *Co jest najważniejsze?! Gorączkowo myślę o tym, co było na szkoleniu. Wysokość otwarcia spadochronu?* - krzyczę. *To też. Ale co jest najważniejsze?!* - pyta. *Plaska figura w czasie spadania?* - *Ale co jest NAJWAŻNIEJSZE?!* - Kucharz wyraźnie rozbawiony kiwa głową. Poddaję się: widać zapomniałem wszystko, czego uczyłem się na kursie a za chwilę przecież skok! Widząc moją nieszczęśliwą minę Kucharz śmiejąc się odpowiada za mnie: *Luzik! Luzik jest najważniejszy!*

Teraz śmieję się i ja. Napięcie znika jak ręką odjął. Moi sąsiedzi zaczynają się wiercić - poprawiają sprzęt. Ci znajdujący się najbliżej drzwi powoli się podnoszą. Rzut oka na wysokościomierz i wszystko jasne: trzy tysiące dziewięćset metrów! Uff... Mam wrażenie, że wysokościomierz pokazuje teraz także moje tętno - serce wali mi jak młot. Silniki cichną - koniec wznoszenia. Piloci z kabiny dają nam sygnał gotowości. Otwierają się boczne drzwi w kadłubie: daleko pod nami przesuwają się chmury. Ich cieniutka warstewka całkowicie oddzieliła nas od Ziemi. W górze niebo w kolorze granatu, z wielką żółtą kulą Słońca. To nie są ziemskie obrazy - wpatruję się urzeczony. Teraz stoimy już wszyscy czekając na swoją kolejkę. To niesamowite, ale zniknął gdzieś wewnętrzny strach i lęk - pozostała fascynacja rozgrywanym wokół mnie nierealnym niczym sen zdarzeniem: kolejni skoczkowie podchodzą do drzwi i - zamiast spadać - odpływają w przestrzeń niczym duchy. Jestem zdumiony...

Samolot szybko pustoszeje. Przychodzi moja kolej. Jeden z instruktorów wychodzi na zewnątrz samolotu trzymając się uchwytów nad drzwiami. Drugą ręką trzyma mnie za specjalny uchwyt naszyty na moim skafandrze w okolicy biodra. Staję oboma nogami na krawędzi progu z dłońmi opartymi o burtę samolotu. Cienki ubezpiecza mnie od środka. Wychylam głowę na zewnątrz i patrzę



na zawieszony kawałek dalej na skrzydle silnik i kręcące się topaty śmigieł. Jedno spojrzenie w dół: widok olbrzymiej białej pierzyny pod nami zapiera dech w piersiach. Z oszołomienia wyrwa mnie szarpnięcie za ramię. Dobra, koniec miękkiej gry - myślę sobie. Krzyczę: *Ready* i uginam kolana - *Set!* i... *Gooo!!!* Skaczemy w otchłań. Czuję, jak adrenalina uderza mi w mózg, blokując na chwilę wszystkie inne bodźce. Umieram?! Nie! Żyję! Kurczę - żyję, i to jeszcze jak! Leżę na niewidocznej poduszce powietrznej zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. Obok mnie „leżą” moi uśmiechnięci instruktorzy. Wyjście z samolotu poszło całkiem niezle i od razu złapaliśmy „plaską” pozycję do spadania. Znowu szarpnięcie za ramię: czas na naukę. Pierwsze ćwiczenie to poprawienie sylwetki: umowne znaki pokazywane ręką przed moją głową pozwalają mi ustawić we właściwy sposób ciało względem powietrza. Później przychodzi czas na trzykrotną symulację otwarcia spadochronu. Uchwyt znajduje się na plecach w okolicy pasa - aby nie stracić kontrolowanej pozycji spadania muszę wykonać symetryczny ruch rękami. Prawa ręka wędruje do tyłu do uchwytu, a lewa w tym samym czasie musi znaleźć się przed głową, aby zrównoważyć opór powietrza. Nasza prędkość wynosi przy tym dwieście kilometrów na godzinę (!).

Teraz mogę już całkowicie oddać się czerpaniu radości ze skoku. Czuję się zaskoczony brakiem poczucia spadania. Odległość od ziemi skutecznie niweluje to wrażenie. Sprawdzam wysokość: 1800 m - najwyższa pora otwierać czaszę. Daję umówione znaki obu instruktorom i pociągam za uchwyt. Po chwili napelniająca się powietrzem czasza stawia mnie w pionowej pozycji. Czuję szarpnięcie i lekkie przeciążenie - w końcu muszę wyhamować spадanie z dwustu do mniej niż dwudziestu kilometrów na godzinę. Moi aniołowie stróże mkną dalej w kierunku ziemi - pułap otwarcia dla doświadczonych skoczków wynosi siedemset metrów. Po chwili znikają w chmurach pode mną. Cisza... Tylko wiatr szumi lekko w linkach. A może to szum krwi w moich żyłach? Rzut oka do

góry na czaszę - jest ok., wypełniła się podręcznikowo. Biorę do rąk kołki sterownicze i zaczynam podniebną zabawę kręcąc kółka i ciasne spirale. Zwalniam i przyspieszam czaszę - próbuję ją wyczuć - przyda mi się to na pewno podczas lądowania.

Płynące pode mną chmury są coraz bliżej. Rany! Co za widok! Biała wata zbliża się z każdą chwilą. W pewnym momencie czuję się jak wśród białych gór. Czy aby trafię w lotnisko? Teoretycznie nie powinno być mnie znieść - trzymałem z grubszą kierunek, wedle wcześniejszej instrukcji lecąc ze słońcem w plecy. Zanurzam się w chmurę. Miejsce nieskazitelnie czystych barw powietrza i bieli zajmuje szarość z rozproszonym w niej światłem. Na szczęście warstwa chmur jest bardzo cienka i już po chwili jestem pod nimi. W dole dokładnie pode mną widzę lotnisko. Uff! Lekka ulga - jeden problem z głowy. Powoli zaczynam układać sobie plan lądowania. Obserwuję lotniskowy rękaw wskazujący kierunek wiatru. Esując pod wiatr kontroluję odległość od miejsca, gdzie mam przyziemić. Nad samą ziemią powoli zaczynam hamować czaszę ciągnąc w dół linki sterownicze. Przyziemiem delikatnie na obie nogi i szybko wypełnioną powietrzem czaszę. Zbieram cały majdan, zarzucam na plecy i idę w kierunku czekających już na mnie instruktorów. Chce mi się krzyczeć i skakać z radości - no i nie ma co ukrywać - rozpiera mnie dumą, że TO zrobiłem!

Serdeczny uścisk dłoni i krótkie podziękowanie dla moich mistrzów. Ognie palą się w moich oczach, słowa stają się w pewnym momencie zbędne - wystarczy jedno spojrzenie: będę skakał. *To kiedy następny skok?* - pyta Kucharz. *Jeśli mogę, jeszcze dzisiaj!* - odpowiadam. *Odpuść sobie, polecisz w ostatnim wylocie, mówią uśmiechnięci.* Już wiedzą: przybyło o jednego spadochroniarza więcej •

**Dobra, koniec miękkiej gry - myślę sobie. Krzyczę: Ready i uginam kolana - Set! i... Gooo!!! Skaczemy w otchłań.**

**Czuję, jak adrenalina uderza mi w mózg blokując na chwilę wszystkie inne bodźce. Umieram?! Nie! - Żyję! Kurczę - Żyję! i to jeszcze jak!**